



Autorka powieści *Goodbye, Love*

MARTYNA KELLER

# fragile lies

Lies #2

Przywiązał ją do siebie  
w każdy możliwy sposób.



Copyright ©  
Martyna Keller  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2023  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone  
All rights reserved

**Redakcja:**

Anna Adamczyk

**Korekta:**

Karina Przybylik

Karolina Piekarska

Barbara Hauzińska

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

**Projekt ilustracji:**

Marta Michniewicz

**Druk i oprawa:**

Abedik S.A.

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-902-9

**MARTYNA KELLER**

# **FRAGILE LIES**

**LIES #2**

**OŚWIĘCIM 2023**

## **OSTRZEŻENIE**

W książce pojawia się temat samobójstwa, przemocy psychicznej i fizycznej, także na tle seksualnym, przez co nie jest ona przeznaczona dla wrażliwych czytelników. Przedstawione w niej relacje nie są zdrowe, autorka nie popiera romantyzowania ich.

*Teraz jesteś w gwiazdach,  
a sześć stóp nigdy nie było tak daleko.  
Oto jestem sam między niebem a żarem,  
och, to tak bardzo boli z miliona różnych powodów.*

*In The Stars – Benson Boone*



# PROLOG



WILLARD

*PÓŹNIEJ*

– Więc powtórzyłeś swoje kłamstwo tysiąc razy?

W głosie mojego psychologa pobrzmiewa zdumienie. Zupełnie jakby od samego początku wątpił on w to, że uda mi się osiągnąć zamierzony cel. Ale czy tak nie było? Podczas naszego pierwszego spotkania naprawdę odniosłem wrażenie, że Ryder Callahan nie do końca na poważnie bierze moje postanowienie o powtórzeniu tej samej formułki po tysiąckroć. Teraz z dumą mogę oznajmić mu, że jednak dokonałem tego, w co on nie wierzył.

– Tak – potwierdzam. – Udało mi się powtórzyć je równe tysiąc razy.

– Podejrzewam, że sprawiło ci to trudność.

Młody mężczyzna opiera przedramiona na powierzchni solidnego biurka i wydaje się zainteresowany tym, co mam do powiedzenia. Wydawał się taki zawsze od dobrych siedmiu miesięcy, lecz dzisiaj wręcz chłonie każde jedno wypowiedziane przeze mnie słowo.

Kładę rękę na podłokietniku sofy i odwzajemniam jego spojrzenie.

– Oczywiście, że sprawiło mi to trudność – odpowiadam w międzyczasie. – Powtórzenie tyle razy jednej formułki spr-

wiłoby ją chyba każdemu. Często traciłem rachubę i musiałem zaczynać powtarzanie swojego kłamstwa od samego początku. Wtedy właśnie docierało do mnie, że moja Gold miała rację: cholera, to rzeczywiście nie jest takie proste.

– Ale nie poddałeś się.

– Jak mógłbym? – Kręcę powoli głową. – Jak mógłbym ją zawieść?

Nie wiem, kiedy kącik moich ust szybuje ku gorze. Być może wtedy, gdy przed oczami po przymknięciu powiek na ledwie sekundę, odnajduję najpiękniejszy obraz wyryty w mojej pamięci: obraz mojej szeroko wyszczerzonej kłamczuchy. Otwieram oczy i obrzucam wzrokiem gabinet. Dominuje w nim czerni, jednak dzisiaj wydaje się on bardziej przytulny niż zazwyczaj, bo prześiąka promieniami słońca chowającego się za drapaczami chmur w Denver.

Skupiam się na ich widoku za oknami, chociaż Ryder do mnie mówi:

– Sądzę, że twoja Gold nie poczułaby się wcale zawiedziona, gdybyś jednak nie doliczył do tysiąca, wiesz?

– Jestem przekonany, że nie poczułaby się zawiedziona. Ona tak naprawdę nigdy nie była mną zawiedziona, chociaż uwierzysz, że dałem jej trylion powodów do rozczarowań?

– Coś mi podpowiada, że mogłeś dać jej ich całkiem sporo. – Mężczyzna mówi to z delikatnym politowaniem.

Odwracam się znowu ku niemu i wypuszczam westchnienie.

– No tak, przecież znasz je wszystkie... tak jak znasz naszą historię na wyłot.

– Waszą i do tego mocno pokreconą – przytakuje Ryder.

Odkłada gdzieś na bok notatnik, w którym zwykł zapisywać wnioski dotyczące naszych spotkań, trwających już ponad pół roku. To o nie tak zawzięcie walczyła Gold. Chciała, bym znalazł kogoś, kto wskaże mi właściwą drogę. Bym wyszedł pewnego dnia na prostą. Dlatego staram się to robić z całych sił. Patrzą



w zamyśleniu na czarny notes, leżący bezwiednie na biurku, dopóki mężczyzna głośno nie odchrząkuje.

– Wróćmy do twojego osiągnięcia, ponieważ to, czego dokonałeś, śmiało można nazwać właśnie tak. – Nadal brzmi, jakby był pod wrażeniem. – Nie chciałeś zawieść Gold, ale czy było coś jeszcze, co popchnęło cię, żeby wytrwale powtarzać i powtarzać jedno kłamstwo?

Krzyżuję z nim spojrzenie i przez chwilę zastanawiam się nad doborem słów.

– Myślę, że... myślę, że zabrałem się za powtarzanie swojego kłamstwa, bo oprócz tego, że czułem, że jestem jej coś winny, sam także chciałem po prostu przekonać się, czy jej mała obsesja przyniesie jakiś rezultat. Czy moje kłamstwo rzeczywiście zamieni się w prawdę.

Masuję dłonią skroń, nie przerywając naszego kontaktu wzrokowego.

– Na początku uważałem to za żałośnie głupie. Jak kłamstwo mogłoby stać się prawdą za sprawą powtórzenia go jak mantrę tysiąc razy? Lecz z czasem wiele się zmieniło – wspominam to z bladym uśmiechem, mimo że doskwiera mi tak naprawdę jedynie smutek.

Boże, tak bardzo tęsknię.

*Tak strasznie za tobą tęsknię, Goldie.*

– Marigold dała mi nauczkę. Nie nauczyła mnie niczego, bo byłem sukinsynem, który nie chciał nikogo słuchać, ale dała mi nauczkę, że powinienem wierzyć we właśnie takie największe bzdety. Wierzyć w to, że można odbić się od najgłębszego dna. Wierzyć w to, że prędzej czy później w życiu każdego nastanie upragnione lepsze jutro... A nawet wierzyć w to, że pewne więzi już na zawsze pozostaną nierozzerwalne.

Chociaż jako tako pogodziłem się z jej brakiem i tak czuję kłucie w sercu, gdy uściślam:

– Teraz już wiem, że moja i jej na pewno do samego końca pozostanie właśnie taka. Nierozzerwalna i najsilniejsza mimo cze-  
gokolwiek, co znalazło się pomiędzy nami.

Ryder spuszcza na chwilę wzrok.

– Niewątpliwie taka będzie. Gold na pewno jest tego samego zdania.

Spogląda ponownie wprost na mnie, kiedy wykrzywiam z bó-  
lem usta.

– Żałuję, że od początku nie dostrzegłem tego, co Rhodes. Że ona... jest tak samo cenna jak złoto. – Przetykam, po czym zauwa-  
żam swój błąd i prędko się poprawiam: – Chociaż nie, jest prze-  
cież od niego milion razy cenniejsza. Najcenniejsza. A ja jestem...  
byłem takim pieprzonym szczęściarzem, że chociaż przez tych  
kilkę miesięcy ona była moja – końcówkę wypowiadałem nieznacz-  
nie łamiącym się szeptem, którego się nie wstydzę.

Nie wstydzę się już właściwie niczego, skoro mój terapeuta  
widział mnie w najgorszym stanie. Na początku naszych spo-  
tkań krzyczałem i wrzeszczałem z kołtującej się we mnie fru-  
stracji, rwałem sobie włosy z głowy i spazmatycznie płakałem,  
dopóki nie zaczynałem się dusić, bo nie umiałem pogodzić się  
z rzeczywistością, w której nie mogłem zamknąć w ramionach  
swojej Marigold. Wołałem ją, aż nie zdarłem gardła, aż nie opa-  
dłem z energii. A Ryder pozwalał mi się wykończyć, jakby był  
przekonany, że to mi pomoże. Miał rację.

W tej chwili przypatruje mi się uważniej, a ja to zauważam.

– Coś się stało? – dociekam już normalnym głosem.

– Wybacz. – Mężczyzna odchyła się na fotelu i splata swo-  
bodnie palce na udach. – Nadal jestem pod wrażeniem tego, że  
siedzisz naprzeciwko i oznajmiasz, że powtórzyłeś coś tysięcy  
razy bez pomyłki. To nieprawdopodobne, Will. To naprawdę  
nieprawdopodobne.

Następnie wstaje bez pośpiechu i po tym, jak opuszcza ręce  
oraz poprawia mankiety białej koszuli, wsuwa dłonie do kiesze-

ni eleganckich spodni. Zaczyna marsz przez gabinet. Dociera do wielgachnych okien i przesuwa spokojnym spojrzeniem po panoramie stolicy.

– Gdy przyszedłeś tutaj pierwszy raz i powiedziałeś, że zamierzasz tego dokonać, pomyślałem, że w życiu ci się to nie uda, a teraz... teraz zwracam ci honor – wyznaje w pewnym stopniu nostalgicznie i po dłuższym czasie wyrzuca z siebie pewne przekonanie: – Ponadto ufam, że coś, czego nie można nazwać miłością, jest w stanie się z nią mierzyć.

Również podnoszę się do pionu i ruszam mozolnym krokiem w stronę okna.

– Jeśli chodzi o Gold... akurat dla niej mógłbym zabić – wyznaje, będąc stuprocentowo poważnym. – Dla mojej *jednej i jedynej* mógłbym nawet zabić, więc co w obliczu tego, ile byłbym gotów dla niej poświęcić, mogło znaczyć powtórzenie jednej beznadziejnej frazy tysiąc razy? Nic. Wobec tego, co byłbym gotów dla niej zrobić, powtórzenie jednego kłamstwa tak wiele razy znaczy zupełnie nic, Ryder.

Przystaję obok niego, a on zerka na mnie z uniesioną brwią.

– Do jakich właściwie wniosków doszedłeś, gdy ci się to udało? Sądziś, że „metoda tysiąca kłamstw” Marigold naprawdę działa?

– Nie doszedłem jeszcze do żadnych wniosków – odpowiadam szczerze, wlepiając wzrok w krajobraz zatłoczonego Denver. – Dojdę do nich dopiero za jakiś czas. Wtedy dam ci znać, czy jej metoda była skuteczna, ale nie opowiem ci tego... Po prostu dam ci znać.

Przeczuwam, że mój psycholog nadal mi się przygląda.

– Nie rozumiem – stwierdza po krótkim namyśle. – Dlaczego mi tego wtedy nie opowiesz? Will, właściwie... jak brzmiało twoje kłamstwo powtórzone tysiąc razy?

Sądziłem, że Ryder zapyta o to od razu, ale być może nic, co dane od razu nie miało tak potężnej mocy, jak coś otrzymane

dopiero po czasie starań? Wierzę, że tak będzie z nami. Ze mną oraz moją wyjątkową kłamczuchą: jedną i jedyną Goldie, której tak bardzo mi brakuje.

Po odetchnięciu pełną piersią zaczynam w końcu mówić.

– Powtórzyłem tysiąc razy jedno zdanie, a brzmiało ono...

Uśmiecham się słabo. Wpatrzony w powoli zachodzące słońce, chowające się za wysokimi drapaczami chmur, czuję rosnącą w sercu nadzieję, kiedy wyszeptuję bardzo cicho:

– ...gdziekolwiek kiedyś się odnajdziemy, właśnie tam będziemy nareszcie szczęśliwi.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY



MARIGOLD

Tego poranka Nowy Jork tętni życiem mimo ponurej, jesiennej aury: jest chłodno, gęsta mgła spowija przestrzeń, a ja trzymam Rhodesa za rączkę i przeciskam się przez tłumy przechodniów spacerujących po chodnikach, chcąc jak najszybciej wsiąść w odpowiednią linię metra oraz dotrzeć do znajdującej się na obrzeżach miasta szkoły. Mały musi zjawić się w niej punktualnie. Dałam słowo, że będę o niego dbać i jestem pewna, że Willard zrozumiał moją obietnicę także jako „młody nie będzie zaliczał spektakularnych spóźnień na lekcje”.

Od czasu, kiedy ją wypowiedziałam, minęły dwie doby.

Na wspomnienie koszmaru, który się wtedy wydarzył, opuchnięte oczy znowu zachodzą mi łzami. Uświadamiam sobie, że zdołały one pozbierać się po całonocnym płakaniu w starą, męską bluzę. Prawda jest jednak taka, że nadal czuję się tak samo bezsilna i zagubiona, bo nie mam pojęcia, jak to udźwignąć. Nie wiem, jak z dnia na dzień stać się wzorową opiekunką dla dziecka, skoro nie potrafię zaopiekować się samą sobą po stracie Willa.

Gdy policjanci wyprowadzili go z mieszkania, wszystko, włącznie z moim poczuciem bezpieczeństwa, legło w gruzach. W końcu tylko przy nim czułam, że nie grozi mi absolutnie nic. Tylko jego podejrzewałam o to, że za żadne skarby nie pozwoli, by spadł mi z głowy włos.

Teraz go nie ma i wariuję do tego stopnia, że czasami przeraża mnie własny cień.

Potrzebuję, by do mnie wrócił. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie mam pojęcia, za ile go odzyskam, o ile w ogóle odzyskam. Mogli przecież odebrać mi go bezpowrotnie, a sama myśl o tym sprawia, że wydaje mi się, jakbym miała zaraz rozsytać się w drobny mak.

Przecieram wierzchem wolnej dłoni zasnute pierwszymi łzami oczy, po czym wbijam wzrok w dal i ponad twarzami śpieszących się ludzi widzę nareszcie zejście do metra. Ciągnę za sobą Rhodesa. Słyszę, jak książki przewracają się w jego wielgachnym tornistrze. Bagaż prawie go przeważa, ale chłopiec nie pozwolił mi go zabrać, odkąd wyruszyliśmy w trasę.

– Sprawa, którą Will pojechał załatwić daleko stąd, musiała być naprawdę pilna. – Mój podopieczny wypowiada nagle słowa, które delikatnie mnie stresują.

Muszę udawać, że wszystko jest w porządku, że Will po prostu na trochę wyjechał. Odwracam się ku małuchowi i odpowiadam mu mimo tego, jak mocno ściśnięte mam gardło.

– Była. Daję ci słowo, że ta sprawa była bardzo, bardzo pilna, Rhodes.

– Nawet mnie nie uściskał, zanim wyjechał... ale jeśli tym razem zapomniał albo nie znalazł dla mnie chwili, nie jestem na niego zły. Za moment wróci i naprawi swój błąd, prawda?

Przystaję w miejscu, po czym zaciskam powieki. Prędko jednak na powrót je uchylam i z trudnym do odparcia grymasem bólu na twarzy oraz nie zważając na ludzi dookoła nas, kucam przy Rhodesie, żeby poprawić poły jego za dużej kurtki. Nie może się znowu przeziębic.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy, Goldie?

Silę się na niewyraźny uśmiech.

– Na razie uściskam cię za niego ja – proponuję. – Co ty na to? Wiem, że sposób, w jaki Will nas do siebie tuli, jest nie do podrobienia, jednak mój też chyba nie jest taki najgorszy?

– Jest super. – Malec wpada w moje ramiona. – Bardzo go lubię. Will też.

Obejmuję go z całych sił, pociągając smutno nosem.

– Skąd wiesz? Powiedział ci to?

– Dwa dni temu zaspaliśmy. Will pomagał mi się szybko ubrać do szkoły, pamiętasz? Zauważyłem, że sam z siebie się uśmiecha i pomyślałem, że to dziwne, bo on prawie nigdy się nie uśmiecha... Zapytałem go, dlaczego tym razem to robi – wspomina Rhodes. – Stwierdził, że miał dzisiaj dobry poranek. Że mógłby przywyknąć do otwierania oczu i przyciągania nas, leżących obok, do siebie. Zwłaszcza kiedy i tak przytulamy się do niego jak małpy w zoo.

Chociaż mam ochotę gorzko zapłakać, ponieważ boli mnie wiedza, że w najbliższym czasie nic takiego się nie powtórzy, ciągnę małego Rhodessa za język.

– Co było potem? – Patrzę mu z bliska w oczy. – Opowiadaj.

– Zagroziłem mu, że powiem ci, że porównał cię do małpy.

Tym razem wybucham niekontrolowanym śmiechem lub też szlochem: nie jestem pewna, co właściwie w tym momencie wyrywa się z mojej piersi.

– A Will na to...?

– Że mógłbym ci o tym powiedzieć, bo droczenie się z tobą, to jego ulubiona część dnia, obok malowania ze mną ścian. Ale tak między nami... – Rhodes ciasno obejmuje łapkami moje policzki i nachyla się nad moim uchem, by wyszeptać wprost do niego: – Will tak naprawdę nie lubi ze mną malować ścian, więc w sumie to nie wiem, czy lubi też się z tobą droczyć.

Potrząsam głową, zaprzeczając jego słowom.

– Myślę, że twój wujek lubi obie te rzeczy.

– Goldie, nie wmawiaj mi, że kocha wymachiwać pędzlem...  
 – Malec ściąga jedną rękę z mojej twarzy i grozi mi zabawnie palcem. – Dobrze wiem, że za tym nie przepada. No i przy okazji, akurat ty zawsze staniesz po jego stronie, tak jak robisz to teraz.

Obserwuję Rhodesa. Chyba mógłby mieć rację, a ja mogłabym z jakiegoś powodu zawsze odnaleźć w Willardzie coś, co skłoniłoby mnie do tego, żeby stanąć za nim murem. Ostatni raz upewniam się, że chłopcu jest wygodnie, ale przede wszystkim ciepło.

– Zgaduję, że wyszłam na kłamczuchę? – wzdycham, unosząc słabo kącik ust.

– Już chyba rozumiem, dlaczego Will ciągle cię tak nazywa. – Mały ściąga drugą dłoń z mojego policzka, po czym spogląda na mnie szeroko uśmiechnięty. – Kłamczucha.

– Osz ty. – Marszczę niby gniewnie czoło. – Lepiej wiej, bo akurat tobie nikt nie dał prawa mnie tak nazywać.

Mały piszczy uroczo i odskakuje na niewielką odległość.

– Nie dogonisz mnie.

– Ależ oczywiście, że dogonię. – Ostatni raz dyskretnie pociągam nosem i wskazuję kiwnięciem na przejście w dół. – Uciekaj w stronę tej stacji metra, tylko pamiętaj...

– Bądź ostrożny – dokańcza za mnie pouczony wiele razy chłopiec. – Będę, Goldie.

To, jak rwie się do zabawy, rozczula mnie za mocno, bym była w stanie mu się oprzeć i nie zacząć ganiać za nim po ulicach miasta. Zwłaszcza że doskonale wiem, jak wygląda jego codzienność i jak mocno cierpi przez brak kontaktu z rówieśnikami, którzy go odtrącili.

Przygnębiona klaskam w dłonie.

– Więc start!

Na mój znak Rhodes rzuca się do odrobinę pokracznego przez ciężący mu tornister biegu. Na szczęście nie jest w nim zbyt szybki, a przejście do metra znajduje się blisko, więc nie tracę go z oczu choćby na sekundę. Z trudem mijamy innych przechod-



niów, dając susa po schodach w dół. Dopiero na stacji postanawiam przerwać frajdę chłopca i złapać go za kaptur.

– No i co teraz, maluchu? – pytam zdyszana i dochodzę do wniosku, że widok wesołych ogników w jego oczach był wart odbycia porannej przebieżki.

Rhodes od razu łypie na mnie wrogo.

– Nie jestem maluchem – obrusza się.

– Racja. – Czochram jego włosy. – Teraz, skoro cię dorwałam, jesteś raczej moim zakładnikiem.

Mały wystawia w moją stronę język.

– Will zaraz wróci i mnie odbije, zobaczysz. Wtedy to ty będziesz naszym zakładnikiem i zrobimy z tobą, co będziemy chcieli.

Ucisk w mojej piersi daje o sobie znać na wzmiankę o powrocie Willa. Rhodes mocno wierzy, że to nastanie szybko, ale nie ma w tym nic dziwnego, skoro powiedziałam mu, że jego wujek wyjechał jedynie załatwić bardzo ważną sprawę do starego kumpla.

Przenoszę wzrok na pobliski rozkład jazdy. Przez chwilę niby próbuję coś z niego odczytać, jednak tak naprawdę zbieram się w sobie, by dalej stwarzać pozory, że wszystko gra.

– Zagonicie mnie do sprzątania waszych brudnych skarpetek? – dociekam w końcu z wymuszonym rozbawieniem.

– Będziemy łaskotać, dopóki nie powiesz, że mamy przestać.

– Tylko nie to. – Przykładam teatralnie dłoń do serca, a następnie zerkam pobłaźliwie na wyszczerzonego Rhodesa. – Nie bądź dla mnie aż tak okrutny, co?

– Będę. Taka zemsta brzmi fajnie.

– Ktoś tutaj wyrasta na dupka. – Opuszczam rękę i ponownie znęcam się nad jego fryzurą, wplatając palce w gęste kosmyki włosów.

Mój zaciekawiony rozmówca unosi brew.

– Na kogo?

Wzdycham, bo po raz kolejny nieumyślnie wpajam mu słowo, na którego naukę ma czas.

– To znaczy: „przepraszam, może jednak mnie oszczędzisz?”  
– poprawiam się i patrzę słodko na chłopca, który jedynie zakłada bojowo ręce na piersi.

– Może Will nabiera się na te oczy kota ze *Shreka*, ale ja nie.

To boli. To boli, że dosłownie wszystko choćby podświadomie sprowadzamy do tematu Willa. Być może łatwiej byłoby mi przetrwać rozłąkę z nim, gdyby nie nawiedzał mnie na każdym kroku, bo kiedy to robi, wydaje mi się, jakbym składała się tylko z silnej tęsknoty.

Trzymam rozpacz na wodzy i zwracam się do Rhodesa z propozycją.

– A co powiesz na maraton *Shreka* dzisiaj wieczorem?

Wydyma wargę w zamyśleniu.

– No... okej, ale to nie znaczy, że ci odpuszczę – zaznacza.  
– Nazwałaś mnie maluchem, wzięłaś mnie jako swojego zakładnika i w dodatku rozczochnałaś. Przesadziłaś, Goldie.

Mimo smutku, który się we mnie gnieździ, śmieję się pod nosem.

– W porządku, nie musisz mi odpuszczać, ale obejrzymy dzisiaj pierwszą część. Tylko najpierw posprzątam wasze mieszkanie, nadal jest w opłakanym stanie.

Po tym, jak Will je zdemolował i później przeszukała je policja, nie mogłam się zebrać, żeby ogarnąć ten wielgachny bałagan – zwłaszcza że dwa dni temu o poranku, gdy zaspaliśmy, a Rhodes oraz jego wujek byli zajęci zbieraniem się do wyjścia, znalazłam pośród niego coś, co odrobinę mnie przeraziło. Ale dzisiaj po pracy zamierzam już coś z nim zrobić. A potem zabiorę małego do swojego mieszkania, tam będzie raczej bezpieczniejszy.

– Omijam stłuczone lustro, tak jak kazałaś – mówi dumnie.

– Mój mądry chłopak – chwalebę go i chwytam za rękę, bo zaraz podjedzie metro. – Zajmę się całym bałaganem, jak skończę zmianę. Później odbiorę cię ze szkoły, dobrze?

– Dobrze.

Słyszę hałas, stopniowo natężający się w jak zwykle zatłoczonych podziemiach, dlatego postanawiam powiedzieć Rhodesowi coś jeszcze, zanim zrobi się głośniejsze.

– Pamiętaj, olewaj komentarze tych nadętych dzieciaków, jeśli jakieś znowu do ciebie skierują, tak? A gdy będą ci bardziej dokuczać, masz dać mi o tym znać. Dojadę ich. – Ściskam pokrępiąco jego dłoń, posyłając mu nieznaczny uśmiech.

Malec patrzy na mnie z wdzięcznością i stwierdza:

– Przypominasz damską wersję Willa.

– O nie, ja zamierzam ich jedynie dosyć niekulturalnie zbluzgać, a on wybiłby im wszystkie mleczaki i tłumaczył się beczelnie ich rodzicom, że tylko im pomógł. Ewentualnie startującym do niego ojcom też by coś wybił, któryś staw, albo...

– Drapię się niezręcznie z tyłu głowy. – Cóż, nie idźmy w to dalej. Po prostu Will dałby im popalić.

Rhodes obnaża zęby, ale po chwili poważnieje i ciągnie mnie za rękę w dół, bym się pochyliła. Robię to. Spomiędzy jego ust wydostaje się krótkie, nerwowe pytanie.

– Ale dzisiaj przyjdiesz po mnie punktualnie o czwartej? – upewnia się.

Dobrze wiem, z czego wynikają jego obawy o to, czy się nie spóźnię. Wczoraj musiał spędzić dwie godziny na ławce w pobliskim parku, bo policja, która znowu przeszukiwała mieszkanie Willa zatrzymała mnie na ciągle przedłużającą się rozmowę, a ja wcześniej obiecałam małemu, że po niego przyjadę. Kiedy zmachana nareszcie do niego dobiegłam, był bardzo, bardzo smutny i zdezorientowany.

Całuję go przelotnie w czubek głowy, po czym przytakuję.

– Przyjdę po ciebie równo o czwartej. A teraz wsiadamy.

Otrzymuję w zamian niepewne skinienie.

Ostatni raz sprawdzam w biegu godzinę wyświetloną na ekranie trzymanego w dłoni telefonu i oddycham z ulgą, bo podbiegam do drzwi sklepu z winylami cztery minuty przed jego otwarciem. Dziwi mnie jednak to, że próbując wcisnąć klucz do zamka, natrafiam na jakiś opór. Jak się okazuje, po drugiej stronie ktoś już wsunął do środka swój komplet.

Ściągam brwi. O co tutaj chodzi? Jestem pewna, że to ja miałam dzisiaj rano pojawić się w sklepie, tymczasem wchodząc do niego, dostrzegam stojącą za ladą i przygotowującą się do otwarcia interesu Findlayów koleżankę.

– Leah? – zaczynam. – Co ty tutaj robisz?

Zsuwam z ramienia torebkę i zdobywając się na uśmiech, podchodzę do dziewczyny, która właśnie mnie zauważa. Mam wrażenie, że delikatnie się spina, bo zaczesuje blond kosmyki za uszy, nabierając przy tym ukradkiem wdech, ale nie myślę o jej reakcji.

– To znaczy, dobrze się składa, że jesteś – poprawiam się prędko, mknąc do niej wesołym krokiem. – Mogę podziękować ci twarzą w twarz, że zgodziłaś się wziąć część popołudniowych zmian. Naprawdę bardzo mi to pomogło, jestem teraz w trudnej sytuacji i...

– Przykro mi, Marigold – znajoma przerywa mi, a jej ton jest wyraźnie zasmucony.

Przystaję w miejscu, tuż przed ladą, na której kładę torebkę.

– Dlaczego ci przykro? – Patrzę na nią z troską. – Coś się stało?

– Państwo Findlay kazali mi przyjść na tę zmianę.

– Myślą, że nie poradzę sobie zupełnie sama? – zastanawiam się rozbawiona. – Tyle razy sklep był tylko na mojej głowie i nic złego się nie wydarzyło.

Leah przełyka ślinę potwornie głośno, a to nie wróży niczego dobrego. Mam co do tego pewność i tym razem już zwracam uwagę na jej dziwne podchody.

Coś ewidentnie jest na rzeczy.

– Mam cię zastąpić – wyznaje, spuszczać wzrok na swoje buty. – Nie tylko dzisiaj, a do czasu, aż nie znajdą kogoś na twoje miejsce. Naprawdę przykro mi, że cię skreślili. Powinnaś... powinnaś raczej z nimi porozmawiać, wiesz?

Słowa dziewczyny dobiegają mnie jakby w zwolnionym tempie. Chwilę zajmuje mi przetrwanie tego, co mi przekazała, lecz gdy tylko uderza we mnie brutalna świadomość, że zostałam skreślona z listy pracowników, po moim ciele rozlewa się ogromna panika.

Nie mogę, nie mogę, nie mogę zostać teraz bez pracy. Przecież muszę utrzymać siebie i Rhodessa w trakcie nieobecności Willarda, a nie mam tysięcy dolarów oszczędności. Wpłatom palce we włosy i ciągnę bezradnie za ich końcówki, wciąż nie mogąc w to uwierzyć.

– W-wyrzucili mnie? – pytam jęśliwie. – Byłam przekonana, że dobrze się spisywałam. Byłam pewna, że przez tych kilka tygodni podołałam wszystkim obowiązkom, które dostałyśmy. Jak... jak to możliwe, że się mnie teraz pozbywają?

Leah unosi wzrok i potrząsa głową, jakby sama nie знаła odpowiedzi na moje pytanie.

– Ja też byłam tego pewna, dlatego powinnaś pogadać z Findlayem – radzi mi i mam wrażenie, że współczucie w jej oczach jest szczere. – Może doszło do nieporozumienia.

Robię krok w tył, wcześniej zgarniając szarpnięciem torebkę z lady.

– Nie... nie mogę stracić tej pracy – mówię bardziej do siebie. – Nie teraz.

Wydaje mi się, jakbym tkwiła w jakimś koszmarze, jakby moje życie rozlatywało się w nim bez przerwy niczym domek z kart.

Najpierw bezlitośnie odbierają mi Willa. Potem przytłacza mnie nowa rzeczywistość, w której muszę być silna dla siebie i dla małego Rhodesa, a teraz tracę jeszcze jedyne źródło utrzymania, nie wiedząc nawet, czym zawiniłam.

Mam ochotę po raz kolejny się rozplakać, bo nie wiem, co robić.

– Posłuchaj mnie. – Leah wychodzi pośpiesznie zza lady i opiera dłonie na moich drżących ze zdenerwowania ramionach. – Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, wiesz, że możesz do mnie napisać, prawda? Postaram się jakoś cię wesprzeć. Jak mogę... przyrzekam, Marigold.

Bije od niej chęć pomocy, ale to nie jej potrzebuję. Jedyne, na czym mi teraz zależy, to wyjaśnienie tej sytuacji i jak najszybsze odzyskanie pracy. Muszę zapewnić Rhodesowi i sobie podstawowe warunki do tego, by przetrwać – opłacić rachunki, włożyć coś do lodówki, kupić jakieś cieplejsze ciuchy, bo nieubłagane zbliża się zima. Żadnej z tych rzeczy nie zrobię bez pieniędzy, a Findlayowie właśnie odcięli mnie od możliwości ich zarobienia.

Przebiegam palcami po twarzy, chcąc się jakkolwiek ocucić.

– Dziękuję – wzdycham już trochę bardziej trzeźwo, bo do tej pory nie dałam ciała w żadnej kwestii i tutaj musiała zajść jakaś paskudna pomyłka. – Nie będę zawracać ci głowy, idę zresztą od razu skontaktować się z panem Findlayem.

Leah ściąga rękę z moich ramion.

– Powodzenia, wyjaśnijcie sobie wszystko, bo coś mi tu nie pasuje.

– Wyjaśnimy... Mam nadzieję – mówię to, po czym posyłam zmartwionej koleżance ostatnie spojrzenie i odwracam się na pięcie, żeby ruszyć w jakieś zaciszne miejsce.

Nie jest łatwo znaleźć zupełnie pusty zaułek pomiędzy dwoma wąskimi uliczkami, ale kiedy mi się to udaje, zatrzymuję się obok śmietnika i cała w nerwach wybieram numer do pana Findlaya. Za pierwszym razem nie odbiera połączenia. Za drugim

oraz trzecim zresztą także. Nie znam jego adresu, lecz domyślałam się, gdzie mógłby teraz być.

Gdzieś, gdzie sama nie powinnam się zjawiać.

Chociaż wiem, że nie jestem tam mile widziana, i tak wsiadam w metro i po upływie około godziny dojeżdżam do szpitala, w którym – jak obito mi się o uszy – przebywa Alex. Pobicie i obrażenia, których doznał, zatrzymają go na oddziale pewnie przez jakiś czas. Szkoda mi go i mam nadzieję, że szybko wydobrzeje, nawet jeśli okazał się dla mnie dupkiem do kwadratu i zakończył naszą znajomość tylko dlatego, że nie posłuchałam jego śmiesznego, niewyrażonego wprost „zakazu”, bym trzymała się z daleka od Willa.

Pokonuję truchtem schody prowadzące do wejścia. Właśnie wtedy przez głowę przebiega mi głupia myśl, że być może ostatecznie wydarzenia na uczelni mogłyby mieć coś wspólnego z utratą przeze mnie pracy, ale... nie. Alex by taki nie był. Nie zmusiłby rodziców do zwolnienia mnie tylko dlatego, że już się ze sobą nie zadajemy.

To szczeniackie.

Nie pytam w recepcji, w której sali przebywa. Pewnie i tak niczego bym się nie dowiedziała. Zamiast tego przechadzam się szpitalnymi korytarzami, w których biel ścian aż razi w oczy, a charakterystyczny zapach drażni nozdrza, i zaglądam przez szpary w drzwiach do każdej sali. Po sprawdzeniu przynajmniej kilkudziesięciu mam zamiar się poddać, lecz wtem dostrzegam stojącego przy jednej z nich ojca Alexa. Natychmiast uderza we mnie ulga.

Maszeruję do niego szybkim krokiem, pełna nadziei, że wszystko wyjaśnimy.

– Miałam dobre przeczucie, że pana tutaj znajdę – zaczynam lekko zdyszana. – Nie dostałam odpowiedzi na wiadomości ani nie oddzwonił pan do mnie, jak prosiłam, a chciałam pilnie porozmawiać o mojej pracy w sklepie... dlatego przyszedłam.

Ubrany w czarny garnitur Benjamin Findlay lustruje mnie spojrzeniem od góry do dołu. Nie wygląda na zadowolonego z mojego widoku. Zaczesał przyprószone siwizną włosy do tyłu i obwieszcza bardzo spokojnym tonem:

– Marigold, ale ty już dla mnie nie pracujesz. Zapomniałem przekazać Leah, że wczoraj zostawiłem pod ladą wypowiedzenie dla ciebie.

Moja mina zdecydowanie rzędzie.

– Z jakiej racji mnie pan wyrzucił? – dociekam, nie biorąc pod uwagę opcji, by wyjść z budynku i odpuścić temat. – Nie mam na koncie żadnej pomyłki ani żadnego potknięcia, zawsze byłam punktualna i sumienna, starałam się dbać o sklep, jak mogłam...

– A do tego usadziłaś mojego syna na szpitalnym łóżku, wcześniej robiąc z niego idiotę w oczach reszty studentów – przerywa mi męskie prychnięcie. – Nieważne, czy byłaś punktualna, czy sumienna, nie będę przekazywać choćby centa w ręce żmii twojego pokroju.

*Więc jednak, orientuję się. Więc jednak wyrzucił mnie, bo Alex machał w tym palce.* Nie powiedział pewnie ojcu o tym, że nic mu nie obiecywałam, że nie robiłam mu złudnej nadziei, że mieliśmy naprawdę dobre stosunki, zanim obraził się na mnie i cały świat, bo pokazałam się z Willardem na uczelni. Po prostu przedstawił to tak, jakbym zmieszała go z błotem, poniżyła i upokorzyła w najgorszy możliwy sposób, a nic takiego, do cholery, nie zrobiłam.

Jedynie uraziłam jego kruche ego i za to postanowił mi się odwdzięczyć.

– To niezgodne z prawem – odpieram, krzyżując ręce pod biustem.

– Oczywiście oficjalnie ubrałem to w inne słowa. – Łudzaco podobne oczy do tych, które posiada mój dawny przyjaciel, patrzą na mnie z wyższością.

Stary Findlay wie, że nie mogę mu nic zrobić.



– Dobrze, zacznijmy od tego, że to nie ja pobiłam Alexa.  
 – Opuszczam gwałtownie ręce. – W dodatku starałam się powstrzymać tego, który po tym, jak pański syn mnie obraził, się na niego rzucił. To nie tak, że stałam bezczynnie i przyglądałam się temu, co się działo.

Obserwuję twarz mężczyzny, ale ta pozostaje niewzruszona. Zapewne niepotrzebnie przedstawiam mu w ogóle swoją wersję, ponieważ nie weźmie jej pod uwagę. Będzie trzymał stronę synalka, nieistotne, że zachował się on jak rozkapryszony dzieciak.

Nie spodziewałam się, że ten dobry Alex będzie takim mściwym skurwielem.

– Poza tym z mojej strony nic się nie zmieniło – dorzucam.  
 – Lubiłam i nadal lubię Alexandra. Szkoda, że uniósł się honorem i zakończył naszą znajomość dlatego, że nie poczułam do niego tego, co on do mnie. Gdyby tego nie zrobił, na pewno by mu przeszło i wciąż bylibyśmy przyjaciółmi, bo tego oczekiwałam od niego od początku. Przyjaźni i niczego więcej. Nie mydliłam mu oczu wizją, że możemy skończyć ze sobą.

– Zapomniałaś dodać, że obściskiwałaś się na jego oczach z nowym chłopakiem – wtrąca Benjamin. – A to już chyba nie czyni cię taką nieskazitelną? To świadczy o tym, jaka z ciebie podła dziewczucha, skoro znalazłaś sobie innego i kazałaś Alexowi na was patrzeć.

– Nie obściskiwałam się na jego oczach z żadnym nowym chłopakiem, po prostu usiadłam na miejscu obok mojego kolegi – protestuje, gotując się powoli od środka.

Co ten pajac nagadał ojcu? Że migdaliłam się z Willardem przy wszystkich? On naprawdę zrobił ze mnie łamiącą serca sukę. Stojący naprzeciwko mężczyzna strzepuje kurz z ramienia, nie patrząc już w moim kierunku, jakbym nie była warta marnowania więcej czasu.

– Powinnaś już sobie iść, nie zmienię decyzji ani opinii o tobie – mówi. – Zraniłaś mojego syna, więc nie masz czego przy nas

szukać, bo nie wywęszysz żadnej kolejnej okazji. Mogłaś wgrzyźć się w lepsze sfery, zostać obsypana przez Alexa prezentami i luksusem, a to, że wolałaś powzdychać sobie do kryminalisty... to był twój świadomy wybór, Marigold.

Robię długi krok w stronę faceta, nie odrywając wzroku od jego patrzących na mnie nieprzychylnie oczu.

– Nie wierzę. – Znowu wymachuję żywo rękami, bo zalewa mnie złość. – Naprawdę skreślacie mnie, bo Alex nie dostał tego, czego chciał. Skreślacie mnie, bo jego męska duma nie dała rady pozbierać się po tym, że nie rzuciłam mu się na szyję z głośnym „chcę być twoją dziewczyną”, mimo że nigdy nie dałam mu sygnału, że chcę nią być... To takie dziecinne. Niech pan przekaże synalkowi, że jest pieprzonym dzieciakiem.

Zbliżam się bardziej do mężczyzny i zadzieram śmiało podbródek, by wycedzić mu coś prosto w tę poważną i w tym momencie okropnie irytującą mnie twarz.

– A do tego, że chętnie dopiero rzucę się na szyję temu kryminaliście.

Findlay kręci głową, jakby nie mógł uwierzyć w mój tupet.

– Nie produkuj się dłużej. – Odwraca się do mnie plecami. – Jedyne przyjmij do wiadomości, że już dla mnie, dla nas, nie pracujesz i zostaje ci klepanie biedy.

Przez moje żyły przetacza się jeszcze silniejsza wściekłość. *Nadziany kutas.*

– Przyjmuję to do wiadomości i, cholera, nie jest mi z tego powodu ani trochę przykro – cedzę nienawistnie, wiedząc, że nasza rozmowa właśnie dobiegła końca.

Chociaż zaraz ulatniam się spod sali, mam zamiar tam wrócić.